



Dom Serca im. św. Marii Goretti

Klaudia Zając, Honduras

09.01.2018

Kochani Przyjaciele!

Mimo, iż wielu z nas zalicza już Świąta i Nowy Rok do przeszłości, chcę złożyć Wam najserdeczniejsze życzenia na ten Nowy Rok 2018, aby był pełen łask Bożych, a może raczej oczu szeroko otwartych na łaski, którymi Bóg nieustannie nas obdarowuje.

„Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców,
wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć;
i to, co nie jest szlachetnie urodzone według świata i wzgardzone,
i to, co nie jest, wyróżnił Bóg, by to co jest, unicestwić,
tak by się żadne stworzenie nie chełpiło wobec Boga.”

1 Kor, 1,27-29

Wielokrotnie podczas mojej misji powracam do tego cytatu pierwszego listu do Koryntian. Pokrzepia mnie. Zwłaszcza wtedy, kiedy stając twarzą w twarz z problemami i cierpieniem, okazuję się być tak bardzo bezradna, tak mała, tak grzeszna – jedyne czym mogę się wtedy chełpić jest to, że jestem Bożym Dzieckiem.

Na początku grudnia wraz z całą wspólnotą wyjechaliśmy do Salwadoru. Jest to kraj sąsiadujący z Hondurasem, w którym także znajduje się Dom Serca. Spędziliśmy 10 wspaniałych dni poznając misję naszych braci z tego kraju. Jednym z apostołów, w którym było mi dane uczestniczyć, była wizyta w szpitalu dzieci chorych na raka. Miejsce to odwiedziłam tylko jeden raz, ale to właśnie tam spotkałam się z Jezusem i Maryją na Golgocie.

Kiedy weszliśmy do pierwszej sali, przywitaliśmy się z trójką dzieci i ich mamami. Nie wiedząc dokładnie w jaki sposób nawiązać rozmowę, pytałam o imiona dzieci i matek, o to ile czasu są w szpitalu, czy są z San Salwadoru czy okolic. Rozmawiając z mamą dwuletniego Alexa z zespołem Downa dowiedziałam się, że ma on raka krwi. Po kilkunastu minutach rozmowy jego mama oznajmiła mi, że musi mu podać lekarstwa. Postanowiłam więc pomóc. Alex nie chciał przyjąć żadnych lekarstw, zaczął więc rzucać się po całym łóżeczku. Musiałam go przytrzymać. Chłopiec darł się w niebogłosy, a mi z każdą chwilą coraz trudniej było go utrzymać. Łzy zaczęły mi płynąć mimowolnie po policzku, kiedy zdałam sobie sprawę, że jego mama wykonuje tę czynność kilka razy dziennie i patrzy na płacz swojego dziecka. Ona jednak z pokornym uśmiechem odpowiedziała: „Robię to, co powinnam”.

Podczas dalszej rozmowy okazało się, że większość tych dzieci jest w szpitalu już od kilku tygodni lub miesięcy, i że ich mamy są z nimi praktycznie cały czas – dniami i nocami. Czasem zmieniają je ojcowie dzieci lub inni

członkowie rodziny, ale to one całymi dniami są obecne przy łóżku dziecka, a nocami śpią na krześle, które po rozłożeniu wygląda jak leżanka turystyczna. Mimo, iż ich obecność nie poprawiała stanu zdrowotnego dziecka, a ich dzieci większość czasu spały, one ich nie opuściły. Wiedziały, że tam jest ich miejsce, czasem zostawiając zdrowe dzieci pod opieką rodziny na długi czas, ale one bardzo dobrze wiedziały, że jedyne, co mogą zrobić dla swoich pociech, to trwać przy ich łóżku. Po raz pierwszy w życiu, wyrażenie, że coś nie mieści mi się w głowie – i w tym przypadku chodzi o matczyną miłość – przyjęło tak dosłowne znaczenie. Nie potrafiłam pojąć tajemnicy tej miłości. I mimo, iż podczas naszej formacji tak wiele mówiło się o tym, że nasza obecność podczas misji powinna być jak obecność Matki Bożej pod krzyżem, kiedy to nie mogła już nic zrobić, tylko współodczuwać cierpienie swojego Syna, przez obecność tuż u Jego stop, po raz pierwszy zrozumiałam, do jak trudnego zadania zostałam powołana.

Kiedy rozmawiałam z jedną z hospitalizowanych dziewczynek, ona zapytała mnie, czy poznałam już Cynthię. Odpowiedziałam, że jeszcze nie. Poprosiła mnie więc, abym poszła ją odwiedzić. Opowiedziała mi także, że Cynthia nie ma rodziców i przez to jest sama, dlatego prosi, abym poszła ją odwiedzić. 12-letnia dziewczynka, chora na raka, mogłaby uzalać się nad sobą i płakać nad swoim losem, ale zamiast tego, prosi mnie, żebym odwiedziła jej koleżankę. Zastanawiałam się, skąd takie dziecko może mieć w sobie tyle miłości. Teraz wiem, że jest to owoc miłości, którą ona otrzymuje od swojej mamy.

Kiedy weszłam na drugą salę, zauważyłam dziewczynkę siedzącą na wózku inwalidzkim. Nie było trudno odgadnąć, że to ona. Była jedynym dzieckiem, któremu nie towarzyszył żaden z rodziców. Patrzyła w podłogę, od której nie odrywała wzroku. Podeszłam i zapytałam: „Ty jesteś Cynthia?”, ona kiwnęła potwierdzająco głową. Powiedziała mi, że ma 12 lat, że lubi kolor różowy i to by było na tyle. Nie patrzyła mi w oczy. Próbowałam ją rozweselić, zainteresować ją czymś, opowiedzieć jej coś o Polsce, ale ona w ogóle nie reagowała. Po kilku nieudanych próbach zapytałam ją więc: „Chcesz ze mną rozmawiać?”, ona kiwnęła przecząco głową. „Chcesz się ze mną pobawić”? Znowu odpowiedziała przecząco. Kiedy jednak ją zapytałam: „Chcesz żebym sobie poszła?”, odpowiedziała: „Nie wiem”, co dla mnie było jednoznaczne z „zostań, proszę”. Po czym odwróciła wzrok w drugą stronę. Uklękłam więc przy jej wózku i po prostu klęczałam. Położyłam dłoń na jej plecach i delikatnie ją głaskałam. W tej właśnie chwili nic nie miało znaczenia: moja otwarta osobowość, moja znajomość hiszpańskiego, moje żarty, moje studia, kraj pochodzenia czy doświadczenie zawodowe. Nie miała znaczenia nawet moja twarz czy nadwaga, bo Cynthia nawet na mnie nie patrzyła. Jedyne co się liczyło, to moja obecność. Nie wiem ile czasu z nią byłam, 5 minut czy 15, ale wiem, że był to jeden z najtrudniejszych momentów podczas mojej misji. Czułam się po prostu przezroczysta. Czułam, że mnie tam nie ma, że Ten kto przy niej czuwa to Chrystus, bo ja – Klaudia – nie dałam rady. Czułam się szczęśliwa, wiedząc, że nic nie muszę robić, bo nie mogłam nic zrobić – kompletnie nic. Ale to wystarczyło.

Kiedy ktoś mnie pyta: „Na czym polega Twoja misja”, lakonicznie odpowiadam: „Na tym, żeby być, a nie działać”, tak jakbym to miała opanowane. Spotkanie z Cynthią, a także z wszystkimi mamami w szpitalu, uświadomiło mi, że moja misja w Hondurasie, w Salwadorze, i gdziekolwiek będę, będzie polegała na uczeniu się, aby „być”. Tej umiejętności nie można posiadać i wpisać ją sobie w CV.



Alison i Valery

Życzę Wam więc, jak sobie i również, żebyśmy w każdym napotkanym, bądź przeżywanym cierpieniu, nie uciekali od Krzyża, ale trwali wiernie u Jego stóp, tak jak to robiła Maryja na Golgocie.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

Klaudia



Moja wspólnota i Sergio



Podczas pobytu w Salvadorze, razem ze wspólnotą z Salvadoru i siostrami Domów Serca



Podczas zabaw z dziećmi



Wspomóż Domy Serca!